



ERITAS cum CARITATE –
INTELLEGENCIA cum AMORE

pod redakcją
Czesława Rychlickiego
i Ireneusza Werbińskiego



WYDAWNICTWO NAUKOWE
UNIwersYTETU MIKOŁAJA KOPERNIKA
Toruń 2011

Recenzent

Ks. prof. dr hab. Jerzy Lewandowski

Projekt okładki i stron działowych

Monika Pest

Na okładce: relief z kości słoniowej z czasów Karolingów (Metz, IX w.) Sakramentarz z Raichenau (fot. P. Sitar, Opactwo Benedyktynów św. Pawła w Lavanttal (Kärnten);

apla z teksturą: © Samanta Grandy – Fotolia.com

Na stronach działowych: Sakramentarz tyniecki (XI w.)

Redaktor

Mirostawa Buczyńska

ISBN 978-83-231-2717-8

Printed in Poland

© Copyright by Wydawnictwo Naukowe
Uniwersytetu Mikołaja Kopernika

Toruń 2011

WYDAWNICTWO NAUKOWE
UNIWERSYTETU MIKOŁAJA KOPERNIKA

ul. Gagarina 5, 87-100 Toruń

REDAKCJA: tel. (56) 611 42 95, fax (56) 611 47 05

e-mail: wydawnictwo@umk.pl

www.wydawnictwoumk.pl

DYSTRYBUCJA: tel./fax (56) 611 42 38

e-mail: books@umk.pl

Łamanie: *Zofia Pilatowska*

Druk: Drukarnia Cyfrowa UMK

ul. Gagarina 5, 87-100 Toruń, tel. (56) 611 22 15



**JEGO EKSCELENCJI
BP. DR. ANDRZEJOWI W. SUSKIEMU
BISKUPOWI TORUŃSKIEMU
Wielkiemu Kanclerzowi Wydziału Teologicznego
Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu
w XXV-lecie biskupstwa**

w Choceniu oraz pokrycie blachą miedzianą dachu na kościele parafialnym w Lubieniu Kujawskim³³.

Patrząc na ofiarną pracę duszpasterską ks. Przybylskiego, jego piękne kapłańskie życie, trzeba szczególnie podkreślić jego postawę wiary, głębokiej, mądrej, również potwierdzonej w praktyce. Nie afiszował się nią, nie była to wiara na pokaz, ale widoczna w całym życiu prawdziwie kapłańskim, w modlitwie, w codziennej wierności Bogu i swemu powołaniu. „Odwiedzając go wielokrotnie w Choceniu, czy zwłaszcza w ostatnich latach w Lubieniu Kujawskim (a były to wizyty nieraz niezapowiedziane), spotykałem go z brewiarzem czy z różańcem w ręku, nie tylko w domu, ale również w ogrodzie czy nad jeziorem. Podobnie było i na wspólnie spędzanych wakacjach³⁴.

Gdy w zadumie i refleksji spoglądamy dzisiaj z perspektywy minionego czasu na osobę ks. Tadeusza Przybylskiego i jego wieloletnią, tak bardzo ważną, pełną poświęcenia, ideową pracę profesora filozofii a także niezwykłego kapłana i duszpasterza, to można powiedzieć, że jest on znakomitym przykładem, wzorem do naśladowania Jedynego Mistrza, który powołuje do swego kapłaństwa. Ks. bp ordynariusz W. Mering, składając życzenia księdzu Przybylskiemu z okazji jego jubileuszu 75-lecia urodzin, napisał: „Za tę właśnie postawę chcę podziękować z okazji pięknego Jubileuszu. Potrzebujemy bowiem i dziś, i zawsze, takich wzorów, to znaczy ludzi, którzy cicho, skromnie i wiernie idą drogą wskazaną przez Naszego Pana³⁵.

Niewątpliwie ks. prof. Tadeusz Przybylski zajmuje ważne miejsce nie tylko w gronie profesorów wrocławskiego seminarium duchownego, ale także w historii diecezji wrocławskiej.

³³ K. Rulka, dz. cyt., s. 376.

³⁴ Z. Pawlak, dz. cyt., s. 469.

³⁵ W. Mering, *Słowo wstępne biskupa wrocławskiego Wiesława Meringa*, „Studia Włocławskie” 7 (2004), s. 7.



Waldemar Rozynkowski

Ks. Stefan Wincenty Frelichowski u początków parafii św. Antoniego w Toruniu – nowe wątki do biografii Błogosławionego

Kiedy przyjrzymy się szczegółowo pierwszym miesiącom istnienia parafii na Wrzosach, to odnajdziemy w nich kilka wątków związanych z postacią Błogosławionego ks. Stefana Wincentego Frelichowskiego¹. Przywołajmy najpierw kilka informacji z historii parafii.

Od średniowiecza obszar dzisiejszych Wrzosów znajdował się pod względem administracji kościelnej w granicach parafii Starego Miasta Torunia. Oznacza to, że kościołem parafialnym była przez wieki zachowana do dzisiaj świątynia, której patronują św. Jan Chrzciciel i św. Jan Ewangelista (obecny kościół katedralny). Jej powstanie związane było z lokacją miasta, która miała miejsce w 1233 roku².

Prawdopodobnie nie małą rolę w opiece duszpasterskiej mieszkańców obecnych terenów Wrzosów, jak i Barbarki i okolic, odgrywał położony na przedmieściach Torunia kościół św. Wawrzyńca. Ponieważ świątynia ta służyła ludności mieszkającej poza murami miasta, to zapewne tam przede

¹ Szczegółową biografię poświęconą ks. Stefanowi Wincentemu Frelichowskiemu zob.: R. Zadura, *Błogosławiony ks. Stefan Wincenty Frelichowski (1913–1945). Biografia*, Toruń 2006, s. 336.

² W. Rozynkowski, *Powstanie i rozwój sieci parafialnej w diecezji chełmińskiej w czasach panowania zakonu krzyżackiego*, Toruń 2000, s. 173.

wszystkim udawali się mieszkańcy wskazanych terenów, aby dopełnić praktyk religijnych.

Trudno do końca scharakteryzować, jaką rolę duszpasterską spełniał w średniowieczu ośrodek religijny na Barbarce³. Nie można wykluczyć, że pełnił on wobec okolicznych mieszkańców także funkcje duszpasterskie, czyli, np. uczestniczyli tam oni w niedzielnej liturgii. Jego ranga uległa na pewno wzmocnieniu na początku XVII wieku, kiedy to na Barbarce wybudowano znacznych rozmiarów kaplicę. Wiemy, że pojawiły się nawet plany, aby uczynić z tego miejsca ośrodek parafialny. Nie zostały one jednak zrealizowane. W okresie nowożytnym, do początku XIX wieku, kaplica na Barbarce określana jest czasami w źródłach jako filia kościoła św. Wawrzyńca⁴. Brakuje jednak jednoznacznych źródeł poświadczających, że kościół św. Wawrzyńca został podniesiony w tym czasie do rangi kościoła parafialnego.

Przynależność parafialna obecnego obszaru duszpasterskiego na Wrzosach zmieniła się w 1831 roku. Dla przedmieść toruńskich oraz okolicznych wsi erygowano wtedy parafię przy dawnym kościele franciszkańskim, którego patronką była Najświętsza Maryja Panna. W granicach nowej parafii znalazły się zarówno obecne Wrzosy, jak i Barbarka. Taka sytuacja duszpasterska trwała do 1937 roku.

Ciągły wzrost liczby mieszkańców Wrzosów oraz znaczna odległość do kościoła parafialnego, położonego w centrum Torunia, sprawiły, że powoli kielkowała myśl założenia w tym miejscu samodzielnego ośrodka duszpasterskiego. Wiążące decyzje zapadły w okresie międzywojennym. Dnia 25 marca 1937 roku ordynariusz chełmiński, biskup Stanisław Wojciech

³ Zob.: W. Rozyrkowski, *Św. Barbara i Barbarka – wokół początków kultu świętej męczennicy*, w: *Święta Barbara i Barbarka*, red. W. Rozyrkowski, W. Miszewski, Toruń 2005, s. 18–21; tenże, *Omnes Sancti et Sanctae Dei. Studium nad kultem świętych w diecezjach pruskich państwa zakonu krzyżackiego w Prusach*, Malbork 2006, s. 193–195.

⁴ Zob.: P. Jeziorski, *Barbarka od XVI do XIX wieku*, w: *Święta Barbara i Barbarka*, red. W. Rozyrkowski, W. Miszewski, Toruń 2005, s. 81, p. 87.

Okoniewski, wydał dekret w sprawie utworzenia nowej placówki duszpasterskiej na przedmieściach Torunia⁵.

Na pierwszego kuratusa samodzielnego ośrodka duszpasterskiego na Wrzosach został powołany z dniem 1 kwietnia 1937 roku ks. Leon Dzienisz (1906–1942). Pełnił on dotychczas obowiązki wikariusza w Grudziądzu. Dekret w sprawie utworzenia kuracji został wysłany z Pelplina na ręce ks. Dzienisza dnia 3 kwietnia 1937 roku⁶.

Nie jest znany osobny dokument zmieniający kurację na parafię. Na podstawie przywoływanych w niniejszej pracy dokumentów źródłowych widzimy, że niemal od początku używano w odniesieniu do kuracji terminu parafia, natomiast posługujący w niej kapłan nazywany jest najczęściej proboszczem. Po II wojnie światowej zaprzestano w ogóle używania terminów kuracja i kuratus, stosując powszechnie nazwy parafia oraz proboszcz.

Pierwsze miesiące istnienia ośrodka duszpasterskiego na Wrzosach nie były łatwe. Świadczy o tym wyraźnie list ks. biskupa Stanisława Okoniewskiego do ks. Dzienisza. Dnia 2 czerwca 1937 roku ordynariusz diecezji postanowił: „Ze względu na zbyt szczupłe dochody pobierane przez WX Kuratusa z kościoła macierzystego N. Marii P. w Toruniu wyznaczam mu od 1 czerwca 1937 miesięcznej zapomogi w ilości 50 zł”⁷.

Nie był to odosobniony przykład pamięci ze strony ordynariusza o nowopowstającej parafii. Zachował się także list ks. biskupa Okoniewskiego z dnia 24 grudnia 1937 roku, w którym zapraszał ks. Leona do Pelplina na dzień 27 grudnia. Celem wizyty w stolicy diecezji miało być odebranie przekazanych dla parafii kielicha oraz monstrancji⁸.

⁵ Archiwum parafii św. Antoniego w Toruniu, *Kronika kościoła i parafii św. Antoniego w Toruniu Wrzosy Diecezji Chełmińskiej Dekanatu Toruńskiego sporządzona i prowadzona przez pierwszego administratora po wojnie światowej księdza Wacława Michała Grabowskiego od roku 1946 m. października*, k. 3 (dalej: *Kronika kościoła*); W. Miszewski, W. Rozyrkowski, *Z dziejów parafii św. Antoniego w Toruniu*, Toruń 2008, s. 17 i nn.; W. Konopka, *Rozwój sieci parafialnej w Toruniu w latach 1945–1992*, „Rocznik Toruński”, t. 37: 2010, s. 110–111.

⁶ *Kronika kościoła*, k. 2.

⁷ Tamże, k. 4.

⁸ Tamże, k. 7.

Krótko przed wojną wzniesiono na Wrzosach pierwszą w historii tej części Torunia świątynię. Jej poświęcenia dokonał w lipcu 1939 roku ks. kanonik Leon Kozłowski, proboszcz parafii św. Jakuba w Toruniu. Stosownego zezwolenia udzielił mu ks. biskup Okoniewski⁹. W kronice parafialnej, założonej po wojnie przez ks. Wacława Grabowskiego, zapisano: „Po uroczystym poświęceniu kościoła pod wezwaniem św. Antoniego ks. Dzieńisz Leon z Barbarki przeprowadził się na właściwą plebanię we Wrzosach I i pracował do m. października”¹⁰.

W kronice działającej w okresie międzywojennym szkole na Wrzosach czytamy: „Również w roku 1938 wybudowano kaplicę na Osiedlu. Koszta budowy ponieśli mieszkańcy Osiedla i Wrzosów. Była to kaplica parafii N.M.P. w Toruniu. Pierwszym proboszczem tej kaplicy był ks. Dzieńisz. To on położył największe zasługi przy budowie tej nowej świątyni. Na własnych barkach nosił cegłę i deski dla majstrów”¹¹.

Wokół patrona kościoła

Analiza zachowanego materiału źródłowego dotyczącego parafii św. Antoniego pozwala postawić bardzo ciekawą hipotezę. Prawdopodobnie postać ks. Stefana Frelichowskiego ma związek z wyborem patrona dla planowanego w przyszłości na Wrzosach kościoła parafialnego.

Odwołajmy się do listu ordynariusza chełmińskiego, ks. biskupa Stanisława Wojciecha Okoniewskiego z dnia 1 grudnia 1937 roku, w którym to podnosił on kwestię patrona kościoła: „Wzywam X. Kuratusa [tzn. ks. I. Dzieńisza], aby mi doniósł odwrotnie, pod jakim wezwaniem poświęcony jest tamtejszy kościół. Jeżeli nie ma patrona kościoła, może by nadać kościołowi jako patrona św. Antoniego”¹².

⁹ Tamże, k. 11.

¹⁰ Tamże, k. 12.

¹¹ Archiwum Szkoły Podstawowej nr 9 w Toruniu; *Kronika szkolna Szkoły Powszecznej we Wrzosach*.

¹² *Kronika kościoła*, k. 6.

U dołu listu odpowiedź swą umieścił ks. Dzieńisz: „Jak najprzejmiej donoszę, że dnia 30 XI b.r. wysłałem pocztówkę do ks. Kapelana donosząc, że kościoła jeszcze w Wrzosach nie ma, a dla mającego się budować podałem, jak Jego Ekscelencja Najprzewielebniejszy Ksiądz Ordynariusz w piśmie z dnia 1 XII b.r. zaznaczył św. Antoniego jako patrona kościoła”¹³.

Wymieniony anonimowo w liście ks. *Kapelana* to zapewne postać ks. Stefana Wincentego Frelichowskiego. Przypomnijmy, że pełnił on w tym czasie ową posługę. Dekret mianujący go sekretarzem i kapelanem ks. biskupa otrzymał w dniu święceń, czyli dnia 14 marca 1937 roku. Funkcję tę sprawował na pewno, kiedy przepływała korespondencja pomiędzy ks. Leonem Dzieńiszem a ordynariuszem diecezji. W związku z tym można przyjąć, że to jego informował ks. Dzieńisz o planowanym patronie przyszłego obiektu sakralnego.

Jak wytłumaczyć to pośrednictwo? Kartka skierowana do ks. kapelana nie była oficjalnym pismem składanym na ręce biskupa. Prawdopodobnie miała ona przygotować grunt pod wybór św. Antoniego na patrona przyszłego kościoła. Ks. Leon docierał do najbliższego otoczenia biskupa, które mogło pośredniczyć i mieć wpływ na przekonanie pasterza diecezji, że tenże święty patron będzie najbardziej odpowiednim orędownikiem. Taka wersja zdarzeń wydaje się być wielce prawdopodobną.

Pośrednictwo ks. Stefana w wyborze wezwania można pełniej rozumieć dzięki innym faktom. Ks. Dzieńisz i ks. Frelichowski znali się, byli kolegami z seminarium. Chociaż dzieliło ich kilka lat różnicy, to spotkali się w seminarium duchownym. Przypomnijmy, że ks. Leon święcenia kapłańskie otrzymał dnia 19 grudnia 1931 roku. Kilka miesięcy wcześniej, jesienią tegoż roku, próg seminarium przekroczył Stefan Wincenty Frelichowski. Patrząc na wojenne dzieje obydwu postaci, nie można nawet wykluczyć, że łączyła ich przyjaźń, pogłębiona zapewne w czasie wojny.

Trudno coś więcej powiedzieć o roli jaką odegrał w omawianej kwestii ks. Stefan. Być może nie ograniczała się ona tylko do technicznego pośrednictwa w wymianie korespondencji. Dostępne źródła pozwalają tylko na

¹³ Tamże.

tak ogólne stwierdzenia. Nie możemy jednak wykluczyć, że w przyszłości pojawią się nowe wątki dotyczące genezy obecności św. Antoniego, jako patrona na Wrzosach, w których spotkamy także ks. Stefana.

Chrzest

W najstarszej, założonej przed wojną księdze chrztów w parafii na Wrzosach, pod datą 17 września 1939 roku spotykamy wpis i podpis ks. Stefana. Udzielił on sakramentu chrztu Elżbiecie Marii. Z zapisu w rubrykach, który uczynił ks. Stefan, dowiadujemy się, że nowo ochrzczona urodziła się dnia 7 września 1939 roku. Jej rodzicami byli mieszkańcy Wrzosów, Franciszek Marcinkowski oraz Elżbieta Maria z domu Elzner.

Jak wytłumaczyć obecność ks. Stefana w tym miejscu? Prawdopodobnie od końca sierpnia nie było już w parafii ks. Leona Dzienisza. Z wcześniejszych zapisów metrykalnych wiemy, że ostatniego sakramentu chrztu udzielił on dnia 20 sierpnia. Prawdopodobnie krótko po tej dacie opuścił parafię na Wrzosach i udał się z posługą jako kapelan do gromadzących się wojsk polskich pod Grudziądem. Z kolejnych wpisów w księdze chrztów widzimy, że sakramentów udzielali księża z parafii mariackiej w Toruniu. Przyjeżdżali oni na Wrzosy, aby w niedzielę pełnić funkcje duszpasterskie, tzn. odprawić mszę św. oraz udzielić sakramentu chrztu.

Powróćmy do osoby ks. Frelichowskiego i jego obecności w Toruniu. Przypomnijmy, że z dniem 1 lipca 1938 roku został on mianowany wikariuszem przy kościele parafialnym Najświętszej Maryi Panny w Toruniu. Ksiądz Stefan miał tam przepracować nieco ponad piętnaście miesięcy.

Do Torunia przeprowadziła się także z Chełmży jego najbliższa rodzina. Siostra Marcjanna tak wspominała ten okres:

W Toruniu zamieszkał najpierw Wicek. Tak się jednak złożyło, że i nas ciągnęło do tego miasta. W Chełmży zlikwidowano liceum, i Stenia, starsza siostra, musiała dojeżdżać do szkoły do Torunia. Ja kończyłam szkołę podstawową i chciałam dalej uczyć się w gimnazjum. Mogłam oczywiście pozostać w Chełmży, ale zmiana szkoły była nieunikniona. Tatuś nie pracował już od

jakiegoś czasu w piekarni, więc nie był już związany miejscem pracy. Wydaje mi się, że o przeprowadzce do Torunia zdecydował mocno jeszcze jeden fakt. Wikarzy przy kościele NMP nie stołowali się w parafii. Wicek był z tego bardzo niezadowolony, brakowało mu wspólnego stołu, przy którym spędzało się czas. Biorąc to wszystko pod uwagę, rodzice, za namową Wicka, przeprowadzili się do Torunia. Przeżywali jednak bardzo wyjazd z Chełmży, w której spędzili tyle lat i pozostawili rodzinę.

Przeprowadziliśmy się w maju 1939 roku. Zamieszkaliśmy przy ul. Fosa Staromiejska 24. Była to wielka wygoda dla brata. Z tego domu prowadziła długa klatka schodowa do ul. Franciszkańskiej, a stamtąd do Rynku Staromiejskiego. W ten sposób Wicek bardzo szybko docierał do domu i do kościoła. Do domu przychodził najczęściej na posiłki¹⁴.

Z okresu wikariuszowskiego ks. Stefana zachowało się niewiele źródeł. Codziennosc księdza jest jednak znana: Msza św., udzielanie sakramentów oraz katechizacja. Dzięki zachowanym planom i szkicom kazań widzimy, że wiele miejsca poświęcał dzieciom i ich przygotowaniu liturgicznemu.

Szczęśliwie posiadamy pisane przez ks. Stefana krótkie artykuły do tygodnika parafialnego „Wiadomości Kościelne parafii Najświętszej Maryi Panny w Toruniu”. Napisał ich w sumie trzydzieści. Ukazywały się regularnie, prawie co tydzień, od dnia 8 stycznia do 3 września 1939 roku. Teksty były pisane z myślą o parafianach, miały być dla nich źródłem wiedzy oraz formacji religijnej. Tak więc musiały być stosunkowo proste i komunikatywne. Każde jednak źródło mówi o swoim twórcy. Dzięki nim poznajemy młodego kapłana, który przed kilkoma miesiącami rozpoczął swoją posługę wikariuszowską.

Ostatni artykuł, który ukazał się dnia 3 września 1939 roku, zatytułował *Pokój czyniący*. Paradoksalnie, powinien pisać o zbliżających się najeźdźcach oraz o praktycznej postawie wobec wroga. A on napisze o błogosławionych, którzy czynią pokój:

¹⁴ W. Rozyński, *Radosnym Panie! O bł. ks. Stefanie Wincentym Frelichowskim*, Toruń 2004, s. 42–44.

Czyńmy ten pokój w rodzinach naszych przez wzajemne poszanowanie i miłość braterską. Nade wszystko zaś w tej obecnej chwili dziejowej, gdy przygotowani jesteśmy do nieuchronnego zda się środka walki o pokój, módlmy się i spraszajmy pokój w serca tych, w których Bóg złożył odpowiedzialność za dzieje ludzkości...¹⁵.

Oprócz pracy duszpasterskiej, a może raczej w ramach tej pracy, działał także w harcerstwie. Za pozwoleniem władzy duchownej objął funkcję kapelana Chorągwi Pomorskiej. Wymowna była obecność ks. Stefana w działalności ruchu starszoharcerskiego, m.in. w redakcji mającego się ukazywać regularnie biuletynu „ZEW”¹⁶.

Posługę parafialną ks. Stefana przerwał wybuch wojny. Niech podsumowaniem jego dotychczasowego kapłaństwa będą słowa, które sam zanotował w prowadzonym *Pamiętniku*. Warto podkreślić, że są to jedyne słowa, które tam zapisał będąc kapłanem, i to właśnie wikariuszem w toruńskiej parafii. Pod datą 15 marca 1939 roku czytamy:

Dziś druga rocznica mych prymicji. Dzięki Ci, Panie, za to, co doznałem przez te dwa lata. Nawet za me błędy i odchylenia od Twej woli. Wracam obecnie do Ciebie, Panie, by Ci naprawdę służyć. Mam może opalone już trochę skrzydła, lecz, Panie, w głębokiej pokorze klękam przed Tobą i proszę: daj mi szczerze prowadzić życie i nigdy nie być aktorem życiowym. Daj odwagę życia według wskazań Twoich. Klękam niżej niż zwykle. Tyś moim Panem. I stałeś się mym Ojcem. Panie, daję Tobie me życie. Nie umiem wyrazić mych obecnych myśli. Niech te chwile mego wahania życiowego i odchodzenia od Ciebie staną mi się obecnie mocą. Boże, chcę być naprawdę kapłanem¹⁷.

Dnia 1 września 1939 roku wybuchła II wojna światowa. Ks. Stefan szybko doświadczył jej okrucieństwa. Oddajmy głos siostrze Marcjannie, która tak opisuje pierwszy dzień wojny:

¹⁵ Tamże, s. 51–52.

¹⁶ Zob.: W. Rozyrkowski, „ZEW” – projekt starszoharcerskiego pisma Chorągwi Pomorskiej, w: *Z dziejów prasy harcerskiej w kraju i na obczyźnie*, red. W. Kukła, M. Szczerbiński, Gorzów Wielkopolski 2003, s. 63–67.

¹⁷ *Błogosławiony ks. Stefan Wincenty Frelichowski. Pamiętnik*, red. W. Miszewski, J. Grodzicka, W. Rozyrkowski, D. Zurański, Toruń 2003, s. 165.

Tego dnia Wicek przyszedł do naszego domu razem z ks. Janem Mykowskim i ks. Janem Mantheyem. W domu wisiał obraz Najświętszego Serca Jezusowego. Wicek podszedł do niego i poświęcił całą naszą rodzinę Sercu Jezusowemu. Wcześniej wszyscy byliśmy u spowiedzi i komunii św. W naszej rodzinie zawsze mieliśmy nabożeństwo do Najświętszego Serca Jezusowego. W każdy pierwszy piątek miesiąca czciliśmy Serce Jezusowe, przede wszystkim poprzez spowiedź i komunię św. Uroczystej przeżywaliśmy także każdą niedzielę po pierwszym piątku miesiąca. Mieszkając jeszcze w Chełmży, uczestniczyliśmy w uroczystych niesporach i litanii przy ołtarzu Najświętszego Serca Jezusowego¹⁸.

Ks. Stefan znalazł się w grupie osób aresztowanych już na początku wojny. Tak wspominała to wydarzenie siostra Marcjanna:

Wicek został pierwszy raz aresztowany już na początku wojny, dnia 11 września. Nie było nas wtedy w Toruniu. Dowiedzieliśmy się o tym po powrocie z ucieczki. Razem z władzami województwa ewakuowaliśmy się i zamierzaliśmy udać się do Kowna. Na szczęście tam nie dojechaliśmy. Zatrzymaliśmy się we Włochach pod Warszawą. Tam spędziliśmy prawie dwa tygodnie. Po tym czasie najbliższym transportem, na jaki udało się dostać, wróciliśmy do Torunia. Wicek już powrócił po pierwszym aresztowaniu, o czym oczywiście nic jeszcze nie wiedzieliśmy. Ponieważ nie mieliśmy klucza do mieszkania, starsza siostra Stenia poszła odszukać Wicka. Znalazła go w konfesjonale, przekazała jej tylko klucz i dała znać, że zaraz przyjdzie. Przyszedł wieczorem i długo rozmawiał z tatusiem. Nie pamiętam, żeby nam wszystkim opowiadał o swoim aresztowaniu. Później, w czasie wojny powracaliśmy często do jego aresztowania i pamiętam, że jako powód uwięzienia podawało się zawsze jego kontakty z młodzieżą i zaangażowanie w harcerstwo¹⁹.

Z kroniki redemptorystów toruńskich dowiadujemy się, że pobyt ks. Stefana w toruńskim „okrągłaku” trwał dwa dni. Został wypuszczony dnia 13 września²⁰. Cztery dni po tym wydarzeniu spotykamy go na Wrzosach. Dnia 17 września udzielił sakramentu chrztu wspomnianej wcześniej

¹⁸ W. Rozyrkowski, *Radosnym Panie!*, s. 57–58.

¹⁹ Tamże, s. 58.

²⁰ Archiwum Klasztoru Redemptorystów w Toruniu: [bez sygn.] *Kronika klasztoru w Toruniu 1934–1950*, t. 2, s. 181.

Elżbiecie Marii. Widzimy więc, że ks. Stefan oddawał się w pierwszych dniach wojny bardzo intensywnej posłudze duszpasterskiej.

Znajomość z ks. Leonem Dzieńszem

Jak już wspomniano, ks. Stefan i ks. Leon poznali się już w seminarium. Ich relacje pogłębiła na pewno wspólna wojenna niedola. Rozpoczęła się ona już w Toruniu, w Forcie VII, a następnie trwała w obozach: Stutthof, Sachsenhausen, aż do Dachau.

Przywołajmy na początku podstawowe fakty z życia ks. Leona Dzieńsz. Urodził się 21 października 1906 roku w Praszku, w granicach parafii Starzyno, w dekanacie puckim²¹. Rodzicami jego byli Józef i Rozalia z domu Kalf. Ojciec był z zawodu stolarzem-kołodziejem. Około 1910 roku rodzina wyprowadziła się do Gdyni Chylonii. Dnia 13 czerwca 1927 roku ukończył gimnazjum w Wejherowie. Następnie wstąpił do Seminarium Duchownego Diecezji Chełmińskiej w Pelplinie. Święcenia otrzymał dnia 19 grudnia 1931 roku. Następnego dnia odprawił mszę św. prymicyjną. Na zachowanym do dzisiaj obrazku prymicyjnym umieścił następujące słowa: *Panie, z Tobą jestem gotów i do więzienia i na śmierć. Łuk. 22,33. Gdynia-Chylonia dnia 20. 12. 1931 r.*

²¹ Źródła i opracowania dotyczące postaci zob.: Archiwum Diecezji Pelplińskiej, H. Mross, *Materiały biograficzne kapłanów diecezji chełmińskiej*, H. M. Malak, *Klechy w obozach śmierci*, t. 2, Londyn 1961, s. 419; W. Jacewicz, J. Woś, *Martyrologium polskiego duchowieństwa rzymskokatolickiego pod okupacją hitlerowską w latach 1939–1945*, z. 2, Warszawa 1977, s. 44; T. Gaik, *Modlitwa w Dachau*, w: *Cudem ocaleni. Wspomnienia z kacetów*, Londyn 1981, s. 75; A. Kozłowiecki, *Ucisk i utrapienia. Pamiętnik więźnia 1939–1945*, cz. 2, Kraków 1995, s. 377; J. Walkusz, *W cieniu potamanego krzyża. Studia i szkice z dziejów Kościoła katolickiego na Pomorzu Nadwiślańskim w latach 1939–1945*, Tczew–Pelplin 1999, s. 194; W. Gajdus, *Nr 20998 opowiada*, Pelplin 2001, s. 223; *Błogosławiony ks. Stefan Wincenty Frelichowski, Listy obozowe*, wyd. M. Nędzewicz, Toruń 2005, s. 91, 98, 127, 128, 129, 187, 216; Z. Girzyński, *Towarzysze męczeńskiej drogi bł. ks. Stefana Frelichowskiego. Losy duchowieństwa diecezji chełmińskiej w latach 1939–1945*, Toruń 2005, s. 137; R. Zadura, *Błogosławiony ks. Stefan Wincenty Frelichowski (1913–1945). Biografia*, Toruń 2006, s. 177, 236; J. Adamska, J. Sziling, *Polscy księża w niemieckich obozach koncentracyjnych. Transport 527 duchownych 13 grudnia 1940 r. z Sachsenhausen do Dachau*, Warszawa 2007, s. 67, 132.

Pełnił następujące obowiązki duszpasterskie: kapelana szpitala powiatowego w Chełmnie; wikariusza w Brodnicy (1932–1935); administrator parafii w Nawrze (IV 1936); wikariusza w grudziądzkiej farze (1936). Dnia 1 kwietnia 1937 roku został mianowany pierwszym kuratusem nowoutworzonej samodzielnej placówki duszpasterskiej w Toruniu na Wrzosach. Kiedy wybuchła wojna, pełnił obowiązki kapelana wojskowego. Przebywał na froncie pod Grudziądem, a następnie udał się z armią pod Warszawę. Po zakończeniu działań wojennych powrócił na Wrzosy.

Z okresu wojny pochodzi tylko jeden wpis ks. Dzieńsza do ksiąg metrykalnych. Dnia 4 października 1939 roku dokonał pochówku parafianina Stanisława Rygielskiego. Został aresztowany dnia 19 października 1939 roku. Początkowo był przetrzymywany wraz z innymi księżmi w toruńskim Fortu VII. Przebywał tam niecałe trzy miesiące. Zachował się gryps napisany przez ks. Dzieńsza właśnie z tego miejsca. Oto jego treść: *Jak najserdeczniejsze życzenia święteczne zasylam Zacznej Pani, jako i całej rodzinie*²². Dziękował zapewne w ten sposób za otrzymaną pomoc. Nie można wykluczyć, że tajemnicza „Pani” to być może osoba z parafii na Wrzosach.

Na początku 1940 roku, dokładnie 8 stycznia, został przewieziony wraz z dużą grupą innych więźniów do powstającego obozu Stutthof. W tym czasie więziono w tym miejscu około 200 duchownych. Ks. Leon był zapewne jednym z uczestników wyjątkowych obchodów Wielkiego Czwartku, które w tajemnicy przygotowywał ks. Frelichowski. Ks. Wojciech Gajdus wspomina:

Ks. Wicek Frelichowski dumał o czymś głęboko i frasobliwie. Od kilku dni prowadził jakieś tajemne rokowania z przemytnikami chodzącymi codziennie do tartaku. Co popołudnie wyglądał ich niecierpliwie i wreszcie w środę Wielkiego Tygodnia na chwilę rozmarszczyło się jego zafrasowane czoło. Z radością i dumą pokazuje swym sąsiadom i powiernikom dwie małe pszenne bułki, zawinięte troskliwie w białą płócienną chustkę, dotąd dziwnym trefem

²² *Błogosławiony ks. Stefan Wincenty Frelichowski, Listy obozowe*, wyd. M. Nędzewicz, Toruń 2005, s. 216 (dalej: *Listy obozowe*).

zachowaną w stanie śnieżnej białości. Od rana też czyści skrupulatnie małą szklankę i tę spowija, jakby skarb jakiś, w inną chustkę.

Spojrzelśmy na siebie. Bez słów. Zrozumieliśmy szalony pomysł. Głębokie oddechy. Myśli gonią jedna drugą. Czyżby to było możliwe? Czyżby udać się to mogło tu, w tym miejscu tak strzeżonym? Nikt jemu słowa nie powiedział głośnego. Ważymy w sobie wszystkie za i przeciw. Wreszcie szept: A wino? Wicek niezrażony podnosi swe oczy na pytającego. Myślałem o tym – szepcze.

Jest Wielki Czwartek. Dzień ustanowienia Tajemnicy Najświętszego Sakramentu. Godzina przed świtem. Cisza panuje w baraku. Wszyscy leżą na swych barłogach. Nikt jednak nie śpi. I nikt się nie rusza. Gdybyś dobrze nadśłuchiwał, usłyszałbyś może głosy huczące jak oceany, głosy które w tej godzinie przed świtem wydzierają się z dwustu i więcej serc rozdartych. Ruchy słychać tylko w jednym kącie. Do gwoździ, wbitych tam w ścianę, przyczepiają czyjeś ręce zasłonę grubą i gęstą z kołder i derek. Rozmowy żadnej nie usłyszysz tam. Wszystkie szczegóły aż do najdrobniejszych omówiono wczoraj wieczorem, role podzielone, każdy wie, co do niego należy i cicho buduje przybytek, do którego ma wniknąć Pan, by z uczniami święcić Paschę.

Po chwili wszystko gotowe. Mała walizka spoczywa na barłogu na plewach, na niej biała chustka – to obrus. Większa szklanka z komunikantami. Mniejsza szklanka – to kielich. Przed nim spoczywa Wielka hostia. Nad walizką-ołtarzem wisi mały krzyżyk. Oto i cały ołtarz. Pod zasłoną ciasno i gorąco. Tak gorąco, że mały ogarek, który trzyma jeden z kapłanów, zamiera co chwila. Trzeba od czasu do czasu unosić trochę zasłonę, by wpuścić powietrze. Na klęczkach za zasłoną, gdyż z braku miejsca inaczej nie można, celebrować będzie Mszę świętą ks. Piechowski, asystentem i ministrantem będzie ks. Frelichowski²³.

Dnia 9 kwietnia 1940 roku ks. Dzienisz znalazł się w grupie więźniów, która została wysłana do podberlińskiego obozu koncentracyjnego Sachsenhausen. Następnego dnia transport więźniów przybył do położonej w pobliżu obozu koncentracyjnego stacji kolejowej Oranienburg. Obóz ten powstał w 1936 roku po zakończeniu olimpiady w Berlinie, stworzono

²³ W. Gajdus, dz. cyt., Pelplin 2001, s. 184–186.

go dokładnie na terenie wioski olimpijskiej. Przeznaczony był głównie dla niemieckich antyfaszystów.

W obozie tym doświadcza ks. Leon prześladowań ze strony blokowego, kryminalisty Hugona Kreya. Tak jedno ze zdarzeń opisuje współwięzień ks. Wojciech Gajdus:

Zakomenderował [Hugo Krey] czołganie. Czołgamy się w pocie czoła. Po chwili zarządza wyścig w czołganiu się. Długo i szeroko rozpostarta masa jasno-niebiesko-białych płam szybko spełnia rozkaz. Wyciąga się długi wąż. Na czele oczywiście najmłodszy, bo najsilniejszy. Jednym z pierwszych jest ks. Dzienisz. Hugo każe mu wstać. Wszyscy leżymy cicho, czekając, jaką to znowu zainscenizuje diabelską fantazję. Hugo pyta ks. Dzienisza, czy umie błogosławić. Pytany potakuje. „Błogosław ich” – wskazuje na nas leżących. Unosi się ręka kapłana powoli, uroczyście, jak we Mszy świętej. Przez powietrze płynie donośny głos: Benedicat vos Omnipotens Deus: Pater et Filius et Spiritus Sanctus. Amen-rechocze Hugo i niczego nie spodziewającego się księdza z taką mocą kopie w krok, że ten dość silny i młody, wali się z hukiem jak ścięty dąb na ziemię²⁴.

Przypomnijmy, że ten sam sadysta znęcał się nad ks. Stefanem. Tym razem oddajmy głos wspomnieniom ks. Bernarda Czaplińskiego:

Z nami był też Wicek Frelichowski. I tutaj, jak w poprzednich obozach, byliśmy razem ze świeckimi. Tak było w każdym obozie, aż przekonali się nasi „wychowawcy”, że i w obozie kapłan katolicki zachował swój wpływ moralny i znaczenie. Wtedy izolowali nas od innych więźniów, przeznaczając nam specjalne bloki.

I tutaj, także od pierwszego dnia, ks. Frelichowski pełnił obowiązki kapłana naszego i całej prawie kwarantanny. Znowu wieczorami płynęły, jak by się nie stało, nasze modlitwy do Boga o siłę, o łaskę, by nie załamać się i nie dać się porwać obojętności, by nie zatracić swego pionu życiowego. Rano podrywała nas pobudka: Bądź pochwalon, Boże wielki! Patrzyliśmy we wszystkim na Wicka, na Jego pełną powagi postać, a jednak zawsze radosną, miłą, uśmiechniętą.

²⁴ Tamże, s. 223.

To pełne pogody i męskiej dumy zachowanie się młodego kapłana nie mogło ująć uwadze naszego blokowego, a bezpośrednią tego przyczyną było codzienne odrabianie „sportu”. „Sport” w obozie – to nie ćwiczenia, co ciało zawsze miały utrzymać w zdrowiu i czystości, ale to szkoła zabijania ludzi w sposób powolny, ale systematyczny i pewny.

Razu pewnego czołgaliśmy się w piaskach i brudzie ulic obozowych ku drutom kolczastym, bo taki był rozkaz blokowego – zbrodniarza. I tuż przed drutami kolczastymi, przy których czaiła się śmierć, miał blokowy takie szydercze przemówienie do nas: Oto za chwilę zobaczycie waszego Boga osobiście, ale, abyście tam na pewno doszli, jeden z księży musi udzielić wam rozgrzeszenia i błogosławieństwa! Kto tu z was jest księdzem? – zwrócił się do nas blokowy. Podskoczył leżący na przedzie Wicek i dobitnie meldował: Ich bin katholischer Priester – Ja jestem księdzem katolickim! Udziel im ostatniego błogosławieństwa, bo za chwilę na tych drutach elektrycznych pogina, brzmiała odpowiedź.

Trzeba było w tej chwili widzieć Wicka: nie było dla niego wówczas ani obozu, ani blokowego, nie było drutów, ani karabinów maszynowych, ale byli przyjaciele, leżący w brudzie i poniewierce, którym błogosławieństwo Boga właśnie w tej ciężkiej chwili, sproszone ręką kapłana, mogło dać nowe siły i dużo łask do wytrwania. Nic to, że potem blokowy zbił go i skopał oraz butami swymi w błoto wdeptał. Z radością wspominał Wicek tę chwilę i cieszył się, że właśnie nim jako swoim narzędziem posłużył się Bóg, by w tak ciężkiej chwili pomóc towarzyszom niedoli obozowej. Wicka Frelichowskiego już odtąd nie stracił z oczu kat nasz i morderca wielu księży polskich, osławiony Hugo. Dokuczał mu na każdym kroku. Wicek znosił wszystko z pełną godnością kapłana polskiego. To doprowadziło blokowego do wściekłości. Aby ośmieszyć Wicka i przed nami i przed swymi kolegami, równymi mu zbrodniarzami, oraz przed SS-manami, mianował go biskupem, a jako odznakę tej nowej godności kazał mu przy strzyżeniu zostawić na głowie jakby piuskę z włosów. Ponieważ Wicek miał włosy ciemne, a nas strzyżono co tydzień, odznaczał się wśród nas i przez czas dłuższy był pośmiewiskiem blokowych, kapo i SS-manów w bloku i na placu apelowym. Nie załamał się Wicek, ale naznaczony jakby zewnętrznym stygmatem kapłaństwa, widocznym dla wszystkich, jeszcze godniej i z większą jeszcze powagą nosił swe kapłaństwo wśród nas i naszych wrogów.

Pewnie w tym wszystkim była ręka Opatrzności, bo oto po pewnym czasie zawołał blokowy Wicka do siebie, własnoręcznie ostrzygł mu głowę i mianował go swym kapłanem, złośliwie się wyrażając: Odtąd opiekować się będziesz trupami twoich kolegów i będziesz je dostarczał do kostnicy kwarantanny! Powiedziałem, że było to opatrnościowe, bo Wicek nie tylko zajął się zwłokami umarłych kolegów, ale zaopiekował się też tymi, co za chwil parę mieli umierać. Ilu z nich przez niego właśnie, w czasie Jego kapelanowania, zaopatrzonych na drogę wieczności, przygotowanych i pojednanych z Bogiem zeszło z tego świata, wie tylko Bóg i może sam Wicek. Ponieważ Bóg sam go nazaczył jakby znakiem pomazania swego, my wszyscy odtąd uznawaliśmy nad sobą duchowy Jego prymat. Wicek nie ograniczał się wyłącznie do pracy religijnej na naszym bloku, ale wiedząc, że inni więźniowie pewnie jeszcze więcej tej duchowej pomocy potrzebowali, spieszył z tą pomocą między swych świeckich przyjaciół. Jego to dziełem było, że transporty, wychodzące na wiosnę 1940 roku z Sachsenhausen, wyjeżdżały po pewnym przygotowaniu i po spowiedzi św. w podróż w nieznaną. Niezapomniany to był widok: kapłan w pasiaku na sienniku, a obok niego rozmawiający z nim w skupieniu ducha współtowarzysze. To była spowiedź św. w obozie, a wszystko otoczone najściślejszą, prawdziwą dyscypliną arcani, bo wszędzie pełno było szpiegów i donosicieli²⁵.

W połowie grudnia 1940 roku wszystkich kapłanów z obozu w Sachsenhausen przetransportowano do obozu w Dachau. Był to najstarszy obóz koncentracyjny na terenie Niemiec, został wzniesiony w 1933 roku. Ks. Leon Dzieńisz dotarł do niego w transporcie, który przybył do Dachau w sobotę przed południem, dnia 14 grudnia. Otrzymał numer obozowy: 22642. W nieludzkich warunkach obozowych udało mu się przeżyć około półtora roku. Zginął poprzez zagazowanie w zakładzie eutanazji Hartheim, w tzw. transporcie inwalidów, czyli chorych więźniów, który wyjechał z Dachau dnia 10 sierpnia 1942 roku. Tę datę uznaje się powszechnie jako dzień śmierci ks. Dzieńisza. Urzędową datę śmierci Niemcy podali dzień 16 września.

²⁵ *Wspomnienia o bl. ks. Stefanie Wincentym Frelichowskim*, oprac. R. Zadura, Toruń 2009 (Biuletyn Parafii Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny i Błogosławionego Księdza Stefana Wincentego Frelichowskiego w Toruniu, Nr 15), s. 153–155.

Opis, prawdopodobnie ostatniego dnia życia ks. L. Dzienisza, spotykamy we wspomnieniach ks. Tadeusza Gaika (zamieszczonych w książce: *Cudem ocaleni. Wspomnienia z kacetów*, Londyn 1981, s. 73–76), oto ich obszerny fragment:

W normalnych warunkach słowo inwalida przywołuje obraz żołnierza, który z powodu kalectwa nie jest zdolny do dalszej służby. W obozie koncentracyjnym w Dachau nazwa inwalidy odnosiła się do więźnia, który nie mógł pracować tak wydajnie, jak wymagano, który był chory, i który przekroczył wyznaczony cenzus lat. Głód, praca nad siły, tryb obozowego życia przewidywał, że każdy więzień po trzech miesiącach zostanie doprowadzony do ruiny i stanie się inwalidą. Przewidywania, oparte na dokładnych obliczeniach kalorii potrzebnych do życia i pracy, realizowały się powiększając liczbę inwalidów. Wypadki przy pracy, potłuczenia, urwanie palców, nawet utykanie na nogę dawały podstawę do zaliczenia więźnia do inwalidów. Okropne owrzodzenia, flegmona, nie gojące się rany kwalifikowały na inwalidę. Wszyscy chorzy, którzy przebywali na rewirze 4 tygodnie, i wszyscy, co ukończyli 60 rok życia, kwalifikowali się na inwalidów. Można zaryzykować stwierdzenie, że gdyby inwalidom dawano większe porcje jedzenia i poddawano ich normalnemu leczeniu, to 90% wróciłoby do zdrowia. Ale przecież chodziło o to, aby posłać na śmierć jak największą liczbę więźniów. Dlatego od czasu do czasu dokonywano selekcji. Lekarz SSman przeglądał chorych i niepracujących, zgromadzonych na placu apelowym. Siedział wygodnie na fotelu, a przed nim defiladowali więźniowie obnażeni do naga. Prosty ruch, zwykłe skinięcie odsyłało więźniów do grupy inwalidów. Czasem SSman lekarz rozmawiał łaskawie z jakimś więźniem. Tego czy tamtego księdza pytał współczująco: Jakie masz choroby? Zapewniał z powagą, że będzie z nich wyleczony w specjalnym obozie wypoczynkowym. Oczywiście musi stąd wyjechać, bo KL Dachau jest Arbeitslager – jest obozem pracy.

Po selekcji więźniowie-inwalidzi szli do specjalnych bloków. Tam żyli na poziomie racji żywnościowej, chodzili tylko w bieliznie i oczekiwali na transport. Co do przyszłości, byli okłamywani przez blokowych, sztabowych i pielęgnierów. – Tak! – To jest absolutnie pewne, że pojedą do obozu wypoczynkowego. Tam otrzymają lepsze jedzenie, troskliwą opiekę lekarską i nie będą pracowali. Najwyżej, kiedy zechcą, otrzymają koszyczki na zbieranie winogron. Oczywiście, nie będą pilnowani. Ile zatem nazbierają, to ich chęć i wola. A ile zjedzą, to ich sprawa.

Wielu więźniów, wśród nich także księży, wyobrażało sobie to sielskie życie i ciszyło się na nie. Ale byli tacy, którzy nie wierzyli i spodziewali się gazowej śmierci.

Dnia 10 VIII 1942 r. odszedł z KL Dachau dwudziesty szósty transport inwalidów. Liczył 98 osób, ale była w nim jedna z największych grup księży polskich, jakiegokolwiek odjechały z Dachau, było ich 40. Poprzedniego dnia blokowy zapowiedział transport, a kiedy przyniesiono ubrania, polecił, aby każdy prawidłowo przyszył swój numer do spodni i do bluzy. Wszyscy zajęli się przyszywaniem. Ks. E. Detkens, rektor kościoła akademickiego w Warszawie, przyszywał również, ale był przygnębiony. Podszedł do niego ks. dr H. Czapczyk, również z diecezji warszawskiej, i zaczął rozmowę, „Księżo Rektorze! Transport to koniec wyczekiwania i męki. Jutro jedziemy. Jedziemy chyba na lepsze!”.

Ks. Detkens odpowiedział szeptem: „Co nas spotka, to jest wielka niewiadoma. Znajomy pielęgnier poinformował mnie o pewnym znaku. Jeżeli dostaniemy skarpetki, to jedziemy do innego obozu, bo wszyscy więźniowie zwykłych transportów dostają skarpetki. Więźniowie transportów do gazu skarpetek nie dostają. A nam nie dano skarpetek...”

„To co z tego! Przecież i u nas były wypadki, że wielu więźniów Zugangu skarpetek nie otrzymało i czekało na nie kilka dni. Jeżeli zaś my jedziemy do specjalnych obozów-szpitali, to tam dostaniemy inne ubrania”. Ks. Detkens mówi dalej szeptem: „Jest jeszcze drugi znak. Jeżeli jutro przed wejściem do aut dostaniemy zastrzyki, to będzie drugi dowód, że jedziemy do Gaskammer”.

„Rany Boskie! Księżo Rektorze, czy to możliwe?” Ks. Detkens odpowiedział: „U Niemców wszystko jest możliwe. A Bóg daje nam łaskę specjalnego męczeństwa, winniśmy poddać się Jego woli i ze spokojem iść na śmierć”.

Dołączyli księży profesorowie J. Bielowski, E. Grzymała i Z. Kowalski. Uradzono, aby odprawić spowiedź i zachęcić do niej świeckich inwalidów. Postanowiono, że Ks. Rektor Detkens, gdy będzie miał pewność z drugiego znaku, zacznie po kąpielu kanytk Symeona: „Nunc dimittis...” (Łk 2,29). Wszyscy księży dołączyli do recytacji. Podano tę uchwałę każdemu księdzu z transportu

i postanowiono, że księżyza ustawią się na początku, gdy będą z bloku inwalidzkiego maszerować do Baderaum (kąpieli). Ks. Detkens wiedział, że w Baderaum pracuje jeden Polak. Był to ks. S. Stachowicz Nr 22697. Diecezja Lublin. Jakimś szczęśliwym zrzędzeniem losu dostał się do komanda pracującego pod dachem. Do niego należało sputkiwanie i mycie podłogi po kąpiących się. Opowiadał o swojej pracy ks. Piotrowi [pseudonim AK-owski autora relacji]²⁶ i mówił, jak trudno było mu się przyzwyczaić. Nawet w snach widział gromady nagich ciał. On to miał dać znać ks. Detkensowi o drugim znaku. Gdy ks. Detkens wszedł do Badereum, zobaczył, że idzie do niego ks. Stachowicz. Miał w ręku wiadro i szczotkę. Podeszedł prędko do ks. Detkensa i szepnął: „Macie się kąpać, a po kąpieli dostaniecie zastrzyki. Pflegerzy przyjdą za pół godziny”. Ks. Detkens zrozumiał całą prawdę, ale powiedział tylko połowę informacji: „Drodzy Księża! Mamy się najpierw wykąpać. Po kąpieli staniemy razem w ostatniej sekcji rozbieralni”.

Kąpiel nie trwała długo i księżyza ubrali się szybko. Każdy ubrany szedł na wyznaczone miejsce i coraz więcej księży otaczało ks. Detkensa – księży profesorowie: dr. J. Bielowski, dr. H. Czypczyk, dr. E. Grzymała, dr. Z. Kowalski, dr. T. Gabrielski oraz proboszczowie: J. Aksman, J. Bąk, B. Cizak, E. Dyja, L. Dzienisz [...]. Kiedy wszyscy się ustawili, ks. Detkens zaczął: *Nunc dimittis*...

Teraz o Panie pozwól odejść słudze swojemu
w pokoju, według słowa Twojego,
bo moje oczy ujrzały Twoje zbawienie,
któreś przygotował wobec wszystkich narodów:
światło na oświecenie pogan i chwałę ludu Twego, Izraela.

Kiedy ks. Detkens rozpoczął odmawiać kantyk, do grupy księży podeszedł również ks. Stachowicz i stanął obok. Kiedy księżyza skończyli modlitwę, nastąpiła cisza i wtedy ktoś mocnym głosem zaczął mówić modlitwę po polsku:

²⁶ J. Adamska, J. Sziling, *Polsce księżyza w niemieckich obozach koncentracyjnych. Transport 527 duchownych 13 grudnia 1940 r. z Sachsenhausen do Dachau*, Warszawa 2007, s. 132.

Pójdę za Tobą, Chryste, drogą krzyża,
bo krzyż mnie najlepiej do Ciebie zbliża.
Daj mi o Chryste, przez Twą świętą mękę
gazowej męki zwyciężyć udrękę.

I znowu zapanowała cisza, ale nie trwała długo.

Daj mi o Chryste, przez Twoją mękę
gazowej męki zwyciężyć udrękę.

Cała grupa księży powtórzyła ostatni werset modlitwy. Gdy wymawiano ostatnie słowa, dał się słyszeć ruch przy drzwiach wejściowych, wchodzili Pflegerzy. Ta modlitwa stała się modlitwą często odmawianą przez wielu więźniów. Wielu księży zabrano ją ze sobą na dalsze lata życia i pracy, na wszelkiego rodzaju próby i cierpienia²⁷.

Wspomnijmy, że przywoływany często w powyższym tekście ks. Edward Detkens (1885–1942), to znany warszawski wychowawca młodzieży szkół średnich oraz duszpasterz akademicki przy kościele św. Anny (od 1934 roku rektor tejże świątyni). Został beatyfikowany przez papieża Jana Pawła II w Warszawie w 1999 roku gronie 108 Męczenników²⁸.

Interesującym jest dla nas fakt, że o śmierci ks. Leona Dzienisza pisze w jednym z listów wysłanym z obozu w Dachau ks. Stefan Frelichowski. Pisząc do mamy, dnia 22 sierpnia 1942 roku (czyli w niecałe dwa tygodnie po wyjeździe transportu inwalidów) napisał następujące słowa: *Według mojego zdania, pani Dzieniszyńska nie jest nadal z Wincentą. Czy ona przypadkowo nie odwiedziła pani Stefaniak*²⁹. Ten zaszyfrowany przekaz należy

²⁷ T. Gaik, *Modlitwa w Dachau*, w: *Cudem ocaleni. Wspomnienia z kacetów*, Londyn 1981, s. 74–76.

²⁸ D. Kaczmarzyk, *Wielkie serce. Ks. Edward Detkens*, Warszawa 1985; L. Królak, *Sługa Boży ks. Edward Detkens (1885–1942)*, w: *Męczennicy za wiarę 1939–1945*, Warszawa 1996, s. 213–218.

²⁹ *Listy obozowe*, s. 98.

rozumieć w ten sposób, że ks. Dzienisz nie był już w tym czasie w obozie z ks. Stefanem. Pytając się o tajemnicze odwiedziny sugerował, że ks. Dzienisz jest u ks. Stanisława Stefaniaka. Dodajmy, że wspomniany ksiądz zmarł w czerwcu 1942 roku. W związku z tym ks. Stefan przypuszczał, że ks. Leon także już nie żyje.

Wydaje się, że w jednym z wcześniejszych listów wspomina ks. Stefan chorobę ks. Leona. W liście do mamy z dnia 27 czerwca 1942 roku czytamy:

Napisz mi możliwie szybko o Lechu Kentzerze. Czy rzeczywiście jest tak okropnie z Bernardem i jego bliskimi. Przecież jeszcze przed kilku miesiącami pisałaś mi, że oni tak dobrze wyglądają, szczególnie Dzienisz, Główczewski³⁰.

Pytania o zdrowie różnych osób sugerują, że ks. Dzienisz chorował. Być może jego stan uległ nawet jakiejś wyraźnej poprawie. Jednakże wydaje się, że zapewne to właśnie choroba i jej wyniszczające skutki sprawiły, że ks. Dzienisz trafił do wspomnianego transportu inwalidów, który został wysłany po niechybną śmierć.

Ksiądz Stefan będzie jeszcze kilkakrotnie wspominał ks. Dzienisza w korespondencji, która przychodziła z obozu koncentracyjnego w Dachau. Wydaje się, że świadczy to o tym, że tych dwóch księży łączyły bliskie relacje. W liście napisanym do mamy, datowanym na dzień 1 maja 1943 roku, w końcowej części wyraża wdzięczność wielu osobom za otrzymaną pomoc. W ich gronie spotykamy między innymi rodzinę ks. Leona Dzienisza. Używa przy tym następujących słów: *Przesyłka z Chylonii była także dla innych, którzy dziękują ks. Leonowi*³¹.

W następnym liście, datowanym na dzień 5 czerwca 1943 roku, napisze:

Moje najlepsze życzenia będą towarzyszyły Steni w jej podróży wypoczynkowej. Może będzie ona mogła odwiedzić pp. Dzienisz w Chylonii. Kochana Mamusiu, nie wiesz jak silnie Leo [ks. Leon Dzienisz] i Teo [ks. Teofil Fal-

³⁰ Tamże, s. 91.

³¹ Tamże, s. 127.

kowski] żyją w naszych sercach, i nikt nie może sobie wyobrazić, jak głęboko jesteśmy poruszeni i poważni – nie weseli, ale bardzo, bardzo poważni, gdy otrzymujemy paczki od pp. Dzieniszów. Drugą otrzymaliśmy 23 V – wiem najlepiej, co by to znaczyło dla Leona [ks. Leona Dzienisza]. I te przesyłki możemy tylko przyjmować jako dary od naszych drogich Braci, Braci, którzy osiągnęli swój cel³².

Tym celem było oczywiście życie wieczne z Bogiem.

W liście z dnia 7 maja 1944 roku ks. Stefan dziękując za pozdrowienia prosi, aby pozdrowić: *Jasia Linowo Bruskiego i Falka i Dzienisza*³³. Ks. Stefan informował w ten sposób, że pamięta o swoich zmarłych trzech kolegach: ks. Janie Bruskim, ks. Teofilu Falkowskim oraz ks. Leonie Dzieniszu. Podkreślmy, że duszpasterz z Wrzosów nie żył już od prawie dwóch lat, a pomimo to ks. Stefan pamiętał o nim jeszcze.

W 1962 roku parafianie z Wrzosów ufundowali swojemu pierwszemu proboszczowi tablicę pamiątkową, która zawisała w nieistniejącym już kościele. Tablica ta znalazła także swoje miejsce w nowej świątyni, w połowie stycznia 2008 roku zawisała w nim, w ozdobnym epitafulum.

Przedstawione powyżej mało znane wątki z historii życia ks. Stefana Frelichowskiego, w perspektywie początków parafii św. Antoniego na toruńskich Wrzosach, uzmysławiają nam jak w wielu miejscach spotykamy postać tego kapłana. Potwierdzają bogactwo jego życia i jakąś wielkość postaci. Czynią nas także otwartymi, albo wręcz dopingują do dalszych poszukiwań, gdyż jak się okazuje biografii bł. ks. Stefana można jeszcze poszerzyć.

³² Tamże, s. 128, 129.

³³ Tamże, s. 186–187.